

Belle Époque. Łańcut i powozy.



Teresa Żurawska

Bogata, sielsko piękna Belle Époque. W stolicach Europy tętniło życie. Pospiesznie budowano miejskie pałace o wysokich i obszernych bramach wjazdowych, luksusowe hotele, solidne banki i instytucje użyteczności publicznej. Wzrastał ruch uliczny. Stare, wąskie, zbyt ciasne szlaki komunikacyjne przebudowywano na szerokie arterie dla licznych pojazdów konnych i coraz częstszych samochodów. Pręto dawne dzielnice Paryża, burzono niepotrzebne już wały obronne Wiednia. Wypiętrzał się elegancki Budapeszt. Wokół zabytkowego centrum czeskiej Pragi dostawiano drogie hotele na wzór paryskich pałaców. W Warszawie powstawały wielkomiejskie Aleje Jerozolimskie. Budowlany rozmach i entuzjizm tworzenia ogarnął całą Europę. Wielkie stawały się miasta, wielkie były domy, wielkie w nich mieszkania, meble, przedmioty codziennego użytku, wielkie też myśli towarzyszyły ludziom nawet w godzinach rekreacji.

Życie w metropoliach miało szczególny smak, smak nowości, nęcących reklam, różnorodnych towarów pachnących egzotyką krajów kolonialnych. Urok wieczornych spotkań w operze, rautów i karnawałowych bali nieodmiennie towarzyszył porze jesienno-zimowej. Latem miasta stawały się męczące, duszne, mniej ludne. Życie

towarzyskie europejskiego *high life'u* przenosiło się na wieś, do dworów i pałaców – rezydencji wiejskich, gdzie w rozległych plenerach angielskich parków spędzano czas na spacerach w powozach eleganckich, miękko resorowanych, wygodnych. Zdawały się być one dostosowane do wytwornych, długich sukien z tiurniurą, ściśniętych w pasie, opiętych w gorsie, eksponujących kobiecą sylwetkę. Gigantyczne kapelusze z pękami kwiatów romantycznie ocieniały delikatne, blade twarzyczki o naiwno-dziecięcych oczach. Czar kobiety, czar powozu, czar wiejskiej sielanki. Taką atmosferą tchnęło życie codzienne w rezydencji łańcuckiej, jednej z największych i najświetniejszych w Europie pod koniec XIX i w pierwszej ćwierci XX wieku.



Dzisiejszy Łañcut – niewielkie miasteczko (około 15 tys. mieszkańców) położone w południowej Polsce, przy ważnym szlaku turystycznym i międzynarodowej trasie E4, odległy jest od Warszawy o 340 km na południe, od Krakowa – 175 km na wschód.

Wzniesiono tu w XVII wieku fortyfikowany zamek, z czasem powiększony, rozbudowany i przekształcony na pełną rozmachu siedzibę otoczoną parkiem. Była

ona własnością dwóch słynnych rodów arystokratycznych w Polsce: książąt Lubomirskich (1623-1817) i hrabiów Potockich (1817-1944). Po działaniach drugiej wojny światowej, w 1944 roku, rezydencja stała się pierwszym muzeum w Polsce. Nosi obecnie oficjalną nazwę: Muzeum-Zamek w Łańcucie. Do Muzeum należy ogromny zamek-pałac z jego wnętrzami urządzonymi w stylu baroku, rokoko, klasycyzmu i powtórzonych w Belle Époque stylach historycznych oraz dawne stajnie budowane cugowe i powozownia z jej bezcennymi zbiorami.

Zamek otoczony jest znakomicie zachowanymi fortyfikacjami bastionowymi, w obrębie których znajduje się klasycystyczny budynek oranżerii, pawilon biblioteki zamkowej w stylu wiktoriańskim i część pomocniczo-gospodarcza pałacu. Całość tę otacza piękny, trzydziesto-hektarowy park z licznymi okazami rzadkich drzew i krzewów, ze słynną, już nie istniejącą, storczykarnią, kortami tenisowymi, ujeżdżalnią zimową, zameczkiem w stylu romantycznym i domem ogrodnika. Obecnie mieści się w nim szkoła muzyczna.

Nieopodal zamku, po drugiej stronie parku od południa, zbudowano w końcu XIX wieku dwa imponujące wielkością i szatą architektoniczną budynki przeznaczone dla koni i kolekcji pojazdów. Francuski architekt, Armand Bauquè, zaproszony do Łańcuta przez Romana Potockiego, ojca ostatniego ordynata, nadał budynkom charakter monumentalny w stylu francuskiego klasycyzmu, z piętnem baroku i secesji. Budynek stajni wyjazdowych mógł pomieścić 49 koni pod wierzch i do zaprzęgów, używanych codziennie. W powozowni, podzielonej na dwie części: czarną i żółtą, przechowywano ponad 50 pojazdów sprawnych do użycia natychmiast i na każdą okazję.



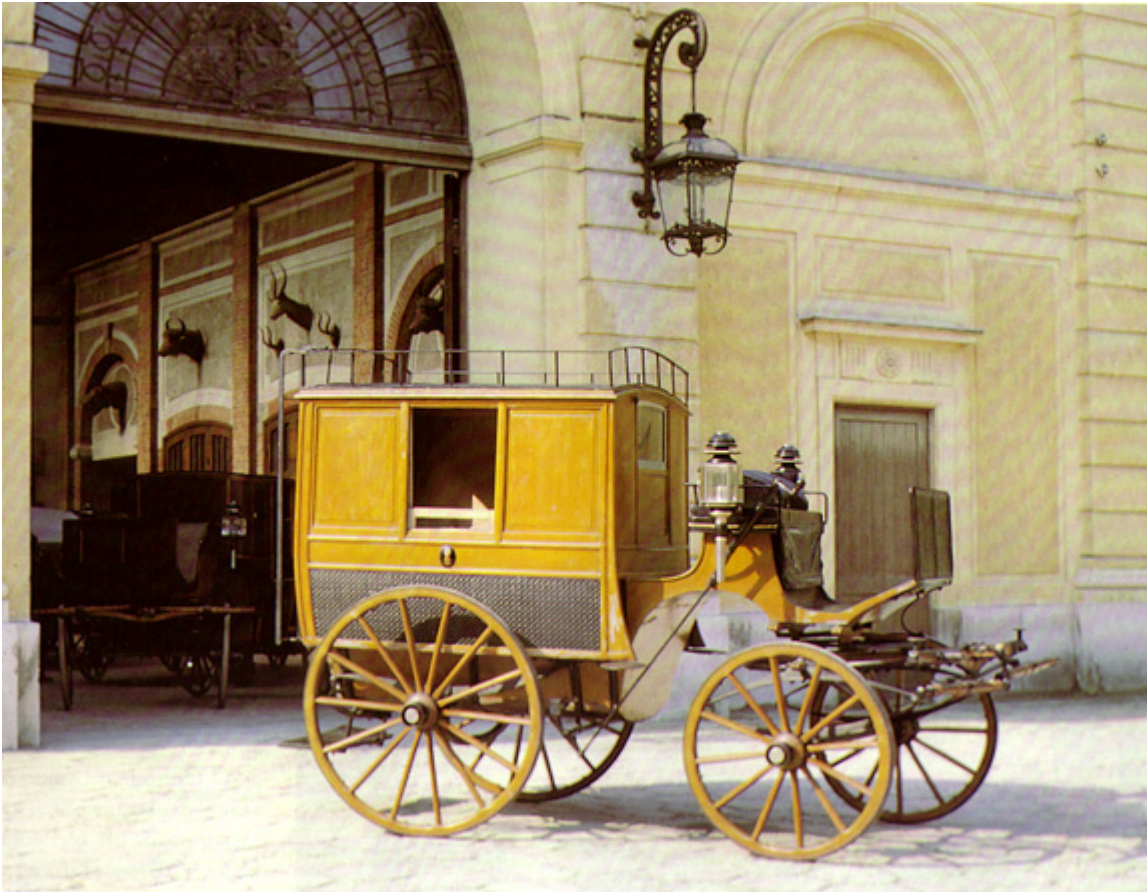
Komplet podróżny, kareta dorneza i furgon bagażowy, Wiedeń, poł. XIX wieku, fot. Jerzy Jawczak.

Powozownia zamkowa wraz z jej kolekcją pojazdów, pełnym wyposażeniem w urządzenia i akcesoria do zaprzęgów, stanowi dziś jedno z nielicznych tego rodzaju muzeów na świecie. Wszystko tu jest autentyczne i sprawne tak, jak było w Belle Époque. Jest unikatem w Europie.

Już wchodząc do hali zaprzęgowej zauważa się podłogę z drewnianej kostki oraz z kamienia w tej części, gdzie umieszczono krany i baseny do mycia pojazdów. Ściany hali, udekorowane egzotycznymi trofeami z afrykańskich, kosztownych safari Alfreda Potockiego, stwarzają specyficzny klimat polowań charakterystycznych dla stylu życia w rezydencji łańcuckiej.

Przy wejściu do powozowni „czarnej” nastrój zmienia się na zobowiązująco-wytworny, wieczorowo-wyjazdowy z powodu znajdujących się tutaj reprezentacyjnych karet i najelegantszych powozów. Patrząc na wielką berlinę ozdobioną podwójnymi herbami Sanguszków i Potockich możemy wyobrazić sobie ceremonię zaślubin znanej pary właścicieli Łańcuta. Wszak Maria z Sanguszków słynęła ze swej urody i znakomitych kreacji, a także ze swych salonów w Wiedniu i Lwowie. Mąż jej, Alfred Józef Potocki, sterował polityką przez wiele lat będąc ministrem spraw zagranicznych, później premierem Austrii i namiestnikiem Galicji. Do tej pary małżeńskiej należała również druga berlina paradna, zawieszona na ośmiu resorach,

z kryształowymi latarniami w srebrnych oprawach. Używali jej w Wiedniu, u dworu cesarskiego. Unikatowy komplet podróżny, składający się z karety sypialnej „*dormeuse*”, zwanej w Polsce „*leżajką*” oraz furgonu bagażowego, służył im do dalekich podróży np. do Paryża. Trasę Łańcut – Paryż pokonywano w ciągu 17 dni. Była to w połowie XIX wieku najszybsza podróż po Europie. Można dodać, że również najwygodniejsza, ale i najdroższa. Komfortowe wyposażenie karety w lustra, składane stoliczki, oświetlenie wewnętrzne, materace z safianu, schowki, żaluzje, firanki, kieszenie i poręcze dawało gwarancję wygody podczas długiej drogi. Najliczniejszą wszakże grupę stanowią wiedeńskie powozy i karety z późniejszej epoki, *fin de siècle*'u. Wszystkie resorowane, niektóre o kołach z gumowymi bandażami, co było nie tylko dowodem luksusu, lecz także nowoczesności. Przypominają bujne czasy karnawału, wieczorne wyjazdy do teatru, opery, na koncerty, bale, rauty i *assemblées*. Wśród powozów zwraca uwagę *calèche à la Daumont* z paryskiej fabryki Mühlbachera. Zadziwia ona elegancją kształtu i lekkością. Ten typ powozu uważano w XIX wieku za najwytworniejszy. Dlatego spełniał rolę reprezentacyjną. Do Łańcuta został sprowadzony koleją w 1923 roku, jako część spadku po Mikołaju Potockim, zamieszkałym stale we Francji. Po kilkakrotnym eksponowaniu go na wystawach lokomocji światowej w Paryżu, miał odegrać w Łańcucie najważniejszą rolę podczas oficjalnej wizyty księstwa Kentu w Polsce w 1937 roku. Pełen wytworności zaprzęg złożony z czwórki pięknych *hackney*'ów, powożonych z siodła, stroje służby, paryska uprzęż i niezwykłość scenerii do dzisiaj pozostały w pamięci najstarszych mieszkańców Łańcuta.



Omnibus sześćosobowy, z bagażnikiem na dachu, Schustala, Wiedeń, ok. 1900 r., fot. Jerzy Jawczak.

Porzucając klimat podróży, reprezentacji i karnawałowych „obowiązków”, przenieśmy się do powozowni „żółtej” w atmosferę polowań, spacerów i wiejskiej sielanki. A więc towarzyskie pikniki na polanach pachnących lasów, grzybobrania pełne przygód i posmaku hazardu, kosze rydźów, dzbanki malin, zapach poziomek i czarnych jagód.

Na te małe wypadki jeżdżono dużym brekiem, bryczką, szarabanem lub *wagonette*. Na poranne przejażdżki bardziej odpowiednie były *kariolki*, *charette’ki*, *parkwagony*, *gigi* i *damskie duc’i*. Prezentowano kunszt powożenia prowadząc parę, trójkę czy czwórkę koni. Zmieniano style zaprzęgów, by pokazać wysokie umiejętności panowania nad ognistymi rumakami.

Najwięcej emocji dostarczały jednak polskie polowania, które rozpoczynano wczesną jesienią, a kończono z pierwszymi chłodami zimy. Myśliwych i towarzyszące im odważne damy wieziono do lasu ogromnymi linijkami o podwójnych ławach *dos-a-dos*, przy których umocowane fuzje i torby na naboje dodawały szczególnego

„uzbrojonego” wyglądu. W gruncie rzeczy te wielkie i ciężkie, wieloosobowe pojazdy z fabryki Schustala-Nesselsdorf w Czechach odznaczały się szczególną elegancją. Pozorne resory stojące stwarzały wrażenie luksusu swoją archaizowaną konstrukcją. Skórzane błotniki, tapicerowane materace kryte modnym wówczas „manchesterem” w kolorze piaskowym dawały wygodę jazdy. Specjalny daszek brezentowy osłaniał panie przed nadmiarem słońca. Lubiły towarzyszyć męskim rozrywkom, podziwiać odwagę i refleks, ale również zażywać własnych emocji. Najmilszą perspektywę zapewniał powrót z polowania, gdy w ciepłe kominka i zaciszu myśliwskiego pałacyku w Julinie rozprawiano o męstwie, ryzyku, pełnych grozy i napięcia scenach przeżytych w kniei.



Nesener podróżny w stylu biedermeier, Austria, XIX w, fot. Mariusz Widerynski.

Na wsi również balowano podczas „zielonego” karnawału. Te wieczory dostarczały najwięcej dreszczy spodziewanych konkiet serc w blasku księżycy i przy śpiewie słowików. Zjeżdżano się na wieczorki letnimi powozami, takimi jak: *vis-a-vis*, *sociable*, *mylord*, a w dni chłodniejsze kazano zaprzęgać konie do zamkniętych landoletów ogrzanych „szofretką”. W kameralnym, ciepłym wnętrzu karety dwoje przytulonych snuło balowe marzenia. Kołysały lekko resory na wyboistych, wiejskich drogach, turkotały żelazne obręcze kół.

W niedzielne popołudnie chętnie wyprawiano się na partyjkę wista lub z wizytą. Porą dżdżystą i wietrzną dobrze było podróżować cabem francuskim. Wnętrze wprawdzie dość ciasne i powietrza w nim zbyt mało, ale od wiatru skutecznie chroniły składane szyby i klapa drewniana, podbita sukнем. Podróżnych wszakże czekała mała niewygodna, bez pomocy służby nie wysiedli. Sygnałem porozumiewawczym ze stangretem byty pętla na ramię, gwizdki ustne i ręczne gruszki gumowe.

Gdy na wielkanocne święta zjeżdżali goście z bagażami i liczną służbą osobistą, wysyłano na dworzec kolejowy kilka karet lub powozów i omnibus. Kufry, walizy, nesesery podróżne ładowano na dach omnibusu, służba siadała do przestronnego wnętrza, a goście sadowili się w karetach. Przed pałac podjeżdżał sznur pojazdów, witano miłych przyjaciół i wśród gwaru, nawoływań, wykrzykników, powitań proszono do uprzednio przygotowanych pokoi gościnnych. Mieściły się one na drugim piętrze. Każdy otrzymywał swój apartament składający się z kilku pomieszczeń: salonu, sypialni, pokoju dla służby i łazienki. Właśnie zamek przeszedł modernizację, w czasie której zmieniono system ogrzewania z piecowego na wdmuchowe oraz założono trzydzieści sześć luksusowych pokoi kąpielowych z nowoczesnym systemem wodno-kanalizacyjnym. Ci goście nie musieli już przyjeżdżać z własnymi gumowymi wannami, jak to bywało wcześniej, za czasów państwa namiestnikostwa. Poza obowiązującymi wspólnymi porami posiłków i zgromadzeniami na wieczorne salonowe rozmowy, koncerty i inne wspólne rozrywki, panowała duża dowolność zajęć. Dla miłośników książek i czasopism zagranicznych, wszelkich aktualności dostarczała biblioteka zamkowa, do dziś jedyna zachowana, prawie kompletna, wraz z urządzeniami, dawnymi meblami, rzadkim i wspaniałym księgozbiorem.



Kareta galowa berlina, Marker i Karasch, Wiedeń, I poł. XIX w. Na stopniach przy koźle data „1830” i monogram „H.W.”, fot. Jerzy Jawczak.



Powóz jesionowy typu „milord” , Polska XX wiek, fot. Jerzy Jawczak.

Zwolennicy sportów konnych mieli własne królestwo i prawdziwy raj. Do ich dyspozycji były piękne, wypielegnowane wierzchowce ze stajni hrabiego, którymi codziennie przejeżdżano się cienistymi alejami do konnej jazdy. W dni chłodne i deszczowe gromadzono się w ujeżdżalni zimowej zażywając tam sportu konnego lub przyglądając się ujarzmianiu (końskiej) młodzieży. W wielkiej szorowni stajni cugowych, która *de facto* była salonem, rozprawiano później żywo o przygodach i wydarzeniach sportowego poranka. Kto nie jeździł wierzchem, mógł kazać zaprząć konia lub konie do pojazdu spacerowego, do bryczki lub gigu i zażywać spaceru samemu lub w towarzystwie, ze służbą lub samodzielnie dobierając pojazd odpowiedni do sytuacji. W każdej chwili zarówno pojazd, jak i konie, uprzęż i służba była gotowa i stosownie ubrana. Paradne liberie przechowywano w pokojach służbowych mieszczących się przy powozowni. Tam każdy masztalerz miał swoje łóżko z czystą pościelą i angielskimi, wełnianymi kocami, toaletkę z umywalką i szafę z liberią. Służba odpoczywała codziennie od godziny 11-tej do 14-tej, po zaobroczeniu koni. Po południu masztalerze i chłopcy stajenni zajmowali się

czyszczeniem i porządkowaniem użytego sprzętu, pojazdów i uprzęży. Czas pracy trwał od 5-tej do 18-tej z trzygodzinną przerwą na posiłek i odpoczynek. Organizacja była doskonała, a stajnie i powozownia służyły z porządku i czystości. Trzeba dodać, że o konie wierzchowe szczególnie dbano. Pielęgnacja ich była trudna, ponieważ każdy koń był strzyżony (wierzchowe inaczej, zaprzęgowe inaczej), kąpany, czyszczeni do lśnienia i przykrywani deką letnią lub zimową, paradną lub codzienną. Uździenice, trzeme i uprzęż także wymagały starania. Części skórzane nacierano natłuszczającymi, delikatnymi pastami sprowadzonymi z Anglii. Okucia metalowe czyszczono specjalnymi środkami w zależności od rodzaju metalu. W efekcie wszystko błyszczało i lśniło. Nic dziwnego, bowiem należało do obyczaju właścicieli zamku, że zwiedzanie stajni cugowych i powozowni przez przyjezdnych uważano za jedną z atrakcji rezydencji łańcuckiej.



Powóz sześćosobowy zwany „Kongres Wiedeński”, Emberg i Glass, Wiedeń ok. 1800 r., data na stopniu 1833, i monogram „J.K.”. fot. Jerzy Jawczak.

Podziwiano stojące tam nieużywane już „wozy starożytne”, do których należał wspaniały „Kongres Wiedeński”, pamiętający czasy wesołego i tańczącego zjazdu

monarchów Europy i ich dworów. Opowiadano konfidentnie słynne afery i romanse z czasów prababki, księżnej marszałkowej Lubomirskiej. Nikt nie śmiałby jednak popełnić niedyskrecji w stosunku do tej słynnej i niezwykłej postaci, małej ciałem, lecz wielkiej rozumem. Duch księżny Izabeli, białobłękitnej damy, po dziś dzień jeszcze unosi się w atmosferze komnat i w powozowni, gdy zdaje się, iż przed chwilą wysiadła ze swojej muszelkowatej kariolki, którą jeździła dookoła fosy zamkowej.

Miała też i czym się pochwalić Elżbieta z Radziwiłłów Potocka, druga żona Romana, ojca ostatniego ordynata na Łańcucie. Oboje z mężem przecież uczynili tę rezydencję wielką i bogatą. Prowadzili prawdziwy europejski dwór pełen służby i gości. Kwitło w Łańcucie życie kulturalne ze wszystkimi jego urokami Belle Époque. Chyba najbardziej o tym świadczą owe wiedeńskie i paryskie powozy, karety, breki, szarabany zakupione przez tę gospodarną parę. Jest ich stosunkowo najwięcej. Romana Potockiego uznać powinniśmy za kolekcjonera pojazdów, bowiem zamawiał on nie tylko popularne typy pojazdów i karet, lecz także inspirował powstanie egzemplarzy unikalnych, takich jak powóz z odwróconym siedzeniem, *mylord* na ośmiu resorach, które sprezentował swej żonie.

W Polsce ordynat zamawiał sanie, bo gdzież je lepiej mogli wykonać niż w kraju, gdzie zimy z reguły bywają śnieżne. Sanie wyjazdowe, zwykle dwuosobowe z kozłem, posiadały wysoko wygięte śnieżniki i charakterystyczne odboje. Gruba baranica podszyta futrem niedźwiedzim lub kozuchem ogrzewała nogi najbardziej narażone na ziąb i bryłki lodu wykopywane spod kopyt koni. Długie futra, czapy i mufki zabezpieczały od mrozu. Ileż radości dostarczała szybka jazda w słoneczną pogodę, gdy śnieg skrzył się diamentowymi iskierkami, dziarsko parskwały konie albo rozgwieżdżoną nocą przy blasku pochodni i dalekonośnym dźwięku janczarów.

Dzisiaj podziwiamy te eksponaty muzealne na kołach i płozach, czarne i żółte z jesionowego drewna, kolorowe w zestawie ciemnego brązu, mahoni i jasnych części konstrukcji. Wypieszczone rękoma znakomitych majstrów, zmontowane w fabrykach Wiednia, Londynu i Paryża, świadczą dziś wymownie o minionych bezpowrotnie czasach, gdy w życiu mieszkańców łańcuckiego pałacu sytość, mnogość i najwyższa jakość szły w parze z niczym nie zakłóconym spokojem dnia codziennego.

Magiczna wigilijna noc



Joanna Sokołowska-Gwizdka

Każdy z nas nosi w sobie taką Wigilię, o której nie zapomni do końca życia. Każdy z nas pamięta zapach choinki, aromat zupy grzybowej, wyjątkowy smak karpia, te cudowne kolędy, które zawsze wzruszają, kolory bombek, lampek, skrzypiący śnieg pod nogami, ośnieżone dachy domów za oknem, wypatrywanie pierwszej gwiazdki, emocje prezentów, a przede wszystkim miłość najbliższych, którą sobie w tym dniu wyjątkowo uświadamiamy. Ten magiczny wieczór nadaje sens wszystkiemu co robimy, wszystko od niego jakby zaczyna się od nowa. Warto poświęcić czas i pracę, aby każda Wigilia była wyjątkowa, obojętnie pod jaką szerokością geograficzną się znajdujemy, bo Święta Bożego Narodzenia to jeden z najpiękniejszych okresów w roku. Tradycje świąteczne wyniesione z domu rodzinnego są wspomniane przecież

przez całe życie. Nigdzie na świecie nie przyjmuje się Dzieciątka tak uroczyście, rodzinnie i tradycyjnie jak w Polsce. Wigilijna polska wieczerza jest czymś wyjątkowym. Ta postna kolacja, składająca się z tradycyjnych potraw, poprzedzona łamaniem się opłatkiem i składaniem sobie życzeń, zostawianie jednego nakrycia dla tych, co w drodze, i tych co na morzu, to nigdzie, poza Polską, nie spotykane obyczaje. Czynią tak tylko Polacy i to pod każdą szerokością geograficzną.

Jakaż była zdziwiona Helena Modrzejewska, po uczestniczeniu z mężem w Wigilii u znajomej katolickiej rodziny z Kalifornii. Wydawało jej się wówczas, że taka „nasza” Wigilia jest obecna w obrządku katolickim wszędzie na świecie. W liście do matki pisała rozczarowana, że głodni wyszli z Karolciem z tej wieczerzy, bo podali wątróbki kurze, indyka i trochę sałatek. Gospodyni była zdziwiona, obyczaju postnego nie znała i kolacja wigilijna tak zawsze wyglądała w jej rodzinie. No i o żadnym łamaniu się opłatkiem też nie słyszeli. Modrzejewska pisała dalej, że co to za dziwny obyczaj, ani życzeń, ani conceptów, tylko suche „Merry Christmas”, na co się odpowiada „Merry Christmas to you” i to wszystko.

Nie ma chyba człowieka, który by takiego wigilijnego ciepła płynącego z uczuć nie potrzebował, są tylko tacy, którzy takiego nastroju nie znają. Te obyczaje, obrzędy i bardzo w polskiej kulturze zakorzeniona tradycja chrześcijańska, są formą wyrazu u nas taką, a nie inną. We Francji np. wieczór wigilijny spędza się na wesołej zabawie w restauracjach, lokalach i domach, podobnie, jak u nas na Sylwestra. Wieczór ten nazywa się *Reveillon* (reveiller-obudzić) i oznacza każdą ucztę o północy w przeddzień jakiegoś święta. W Polskiej Wigilii po okresie Adwentu, wyciszenia i skupienia w oczekiwaniu na przyjście Chrystusa i ograniczeniu łakomstwa, chętnie gotuje się potrawy aromatyczne, wyjątkowe, niezwykle, chociaż postne. A to niezwykle wzniosłe dzielenie się opłatkiem to konsekwencja adwentu – Wigilii i Świąt, a więc spełnieniem oczekiwania i błogosławieństwem.

Oto fragment „Not do dziennika” sprzed 100 lat Ignacego Serkowskiego, pracownika kasy ordynacji łańcuckiej hrabiego Romana Potockiego. Jest rok 1901.

Wieczerza składa się, jak zwykle z tradycyjnych potraw, a więc barszcz z uszkami, szczupak po żydowsku, lin w galarecie, szczupak smażony, karp na szaro, szczupak zamiast okonia w sosie migdałowym, pierożki, soczewica, strudel, kutia,

naturalne makowniki, wino itd. (...) Wieczera przeszła nam nader przyjemnie, potem przeszliśmy do podarków, które wcześniej sam porozkładałem w swoim pokoju na łóżku. (...) Radości było wiele, potem oświeciliśmy drzewko i szopkę. Drzewko bardzo ładne, szopka ojcowska, jakby dopiero co zrobiona (z 1868 r.) prześlicznie wygląda. Z ojcowskiej kantyczki przekołowało się za porządkiem wszystkie kolędy i to całe od początku do końca. Mój Boże, ileż to wspomnień miłych, rzewnych. Następnie przy herbacie zapaliłem ojcowskie cygaro, a trzeba wiedzieć, że od początku wrześnie do dziś nie paliłem.

W książce kucharskiej Antoniego Teslara „kuchmistrza ś.p. J.E. Namiestnika hr Andrzeja Potockiego w Krzeszowicach”, wydanej w Krakowie w 1910 roku, wymienione jest menu wigilijne u rodziny Potockich:

zupa migdałowa, consomme maltańska, krążki z ryby z chrzanem, szczupak – sos szafranowy, karp z sosem polskim, liny smażone – sałatka, kukurydza, croc-en-bouche (rodzaj zimnego deseru z lodami malinowymi, śmietanka i winogronami w karmelu, wszystko mrożone). Osobno przystawki: kanapki, kawior z plasterkami cytryny, śledzie, łamańce, kutia, mak. Ciasta: strucla zwykła, strucla drezdeńska, strucla z konfiturami, strucla z makiem, tort marasquinowy, tort makaronikowy, tort cacaowy.



W Polskiej tradycji wigilijnej liczba potraw powinna być nieparzysta, 13 na stołach magnackich, 11 u szlachty, 9 u mieszczaństwa. Książę Karol Radziwiłł z Nieświeża, zwany „Sierotką”, zapoczątkował zwyczaj, że wszystkie ryby liczymy jako jedno danie. Początek wieczoru wigilijnego z lat dzieciństwa opisał w „Pamiętnikach” Julian Ursyn Niemcewicz:

A na stole: Trzy zupy, migdałowa z rodzynkami, barszcz z uszkami, grzybami i śledziem, kucja dla służących, krążki z chrzanem, karp do podlewy, szczupak z szafranem, placuszki z makiem i miodem, okonie z posiekаныmi jajami i oliwą itd.

Jan Stanisław Bystron w „Dziejach obyczajów w dawnej Polsce - wiek XVI- XVIII” pisze:

Uczta wigilijna ma charakter tradycyjnej i rodzinnej uroczystości, nie dziw więc, że zachowano tu szereg odwiecznych zwyczajów, czasami dawniejszych aniżeli sama tradycja chrześcijańska, która przed wiekami nasunęła się na dawne święto pogańskie.

Czasami nie zdajemy sobie sprawy z pochodzenia pewnych obrzędów, w istocie zwykle jest tak, że różne zwyczaje i obyczaje wywodzące się z czasów pogańskich

zmieniły swoje znaczenie na chrześcijańskie. To co ma związek z przyrodą, z rolą, plonami wywodzi się właśnie z obrzędów pogańskich. Tradycyjne potrawy Wigilijne, też mają agrarne źródło, gdyż spożywamy to co dają nam lasy, pola, łąki i wody, czyli zboża, owoce, mak, mód, grzyby i ryby. Najdawniejsze, wywodzące się z czasów przedchrześcijańskich zwyczaje, przechowywane są głównie wśród ludu. Pod koniec grudnia następował „powrót” Słońca. Naszym przodkom ta data była znana od wieków. Starożytni ludy Europy świętowały wtedy *Dies Solis Invicti* (Dzień Niezwyciężonego Słońca). Kalendarz chrześcijański także nie pomija tej daty, chociaż jej odpowiednik, Boże Narodzenie, do IV w. obchodzono dopiero 6 stycznia. Później, w IV wieku przeniesiono je na 25 grudnia i zostało wprowadzone do kalendarza Świąt Kościelnych. Wigilia natomiast, z jej odrębnością i obrzędowością pojawiła się dopiero 200 lat później.





W dawnej Polsce okres świąt Bożego Narodzenia zwano również Godami. Trwały od Wigilii (24 grudnia) do Trzech Króli (6 stycznia). Gody były traktowane wyjątkowo. Łączył się z nimi dziwny dla nas obyczaj „oczyszczenia”. Miał on wymiar religijny i łączył się z przygotowaniem do przyjścia Chrystusa, a odbywał się właśnie w Wigilię. Była to po prostu zwykła kąpiel w beczce lub balii. W jednej wodzie kąpała się cała rodzina, począwszy od ojca rodziny, a na najmłodszym dziecku skończywszy. Dziwi nas teraz ten brak higieny, będący przyczyną różnych chorób, nie mniej jednak w

średniowieczu i później jeszcze na początku renesansu, ludzie wstydzi się swojego ciała, gdyż była to siedziba zła i pokus. Ciało zakrywano więc skrętnie, a kąpiel była w tym pojęciu czynnością grzeszną. Przepisywał ją lekarz w przypadku choroby, no i stosowano ją właśnie w okresie świątecznym, na Gody, w Wigilię. Dzień Bożego Narodzenia przypada w okresie przesilenia zimowego. W wielu dawnych kulturach - wyznaczało ono początek nowego roku i nowego cyklu wegetacyjnego.

Przypuszczać należy, że w terminie tym obchodzono w czasach pogańskich dwa wielkie święta, a mianowicie agrarne, mające na celu utrzymanie wegetacji rolnej przez okres zimowy, i zaduszkowe, mające znów zadanie nawiązania kontaktu z duszami zmarłych. Wierzono bowiem, że dusze zmarłych przodków i krewnych mogą wspomóc działania ludzi i zapewnić dobre zbiory rolnikom, a pasterzom ochronić bydło i owce przed chorobami

- pisał Jan Bystron, historyk i etnograf. W bożonarodzeniowych zwyczajach i obrzędach można odnaleźć więc symbolikę kontaktu z duszami bliskich zmarłych. Było to pozostawianie wolnego miejsca przy stole. Zwyczaje i obrzędy bożonarodzeniowe były praktykowane przede wszystkim wśród ludu, ale niektóre znała również szlachta i mieszczaństwo. Tak więc, zgodnie z tradycją ludową, Wigilia kończyła stary i jednocześnie rozpoczynała nowy rok. Wierzono powszechnie, że ów dzień i noc są porą cudów, powrotem do czasów rajskiej szczęśliwości i obfitości. Najważniejsza tego dnia jest wieczerza, do której dawniej zasiadano wraz z ukazaniem się na niebie pierwszej gwiazdy. Działo się tak na pamiątkę Gwiazdy Betlejemskiej prowadzącej pasterzy do Betlejem. Wierzono, że w noc wigilijną woda w studniach na krótko zamienia się w miód albo wino, a w rzekach płynie srebro lub złoto. Jednak, jak głosiły różne podania i legendy opowiadane w długie zimowe wieczory, doświadczyć tego mogli tylko ludzie niewinni, szczęśliwi i odważni. Wierzono także, że tej nocy zwierzęta przemawiają ludzkim głosem. W niektórych regionach Polski nadal żywy jest zwyczaj obdzielania zwierząt resztkami jedzenia z kolacji wigilijnej i kolorowymi opłatkami (czerwonymi, żółtymi albo zielonymi). Bardzo często zapiekano w nich święcone zioła, aby chroniły bydło przed chorobami. Niezwykłość nadchodzącego czasu była również podkreślana przystrojeniem domu. Najczęściej - zarówno w chałupach chłopskich, jak i dworach szlacheckich czy magnackich pałacach używano w tym celu słomy, siana czy snopów zboża. Jeszcze w

połowie lat 80-tych na zamojszczyźnie

izbę wyścielano świeżą słomą. Miało to przypominać stajenkę. Pod pięknie wybielony lniany obrus kładziono sianko cienką warstwą i czerwone opłatki przeznaczone dla chudoby. W kącie stawiano snop żyta. Miał on tak stać do Nowego Roku, przyglądać się wszelkiemu dobrobytowi, wziąć go sobie do serca i wydać jeszcze obfitszy plon swoim gospodarzom, żeby przyszłe święta były jeszcze bogatsze.

Ze słomy wyciągniętej z bożonarodzeniowych snopków kręcono powrósła. Po wieczery wigilijnej gospodarze wychodzili do sadu i obwiązywali nimi drzewa owocowe, by nie marzły i lepiej rodziły. Z tych samych snopków robiono mniejsze wiązki i wtykano je w ziemię między zasiane oziminy, aby zboże lepiej rosło. W świątecznie przystrojonym wnętrzu domu nie mogło zabraknąć zimozielonych gałęzi uważanych za symbol życia, zdrowia, dobrobytu. Domy były ozdabiane gałęziami świerku, sosny lub jodły, przybijanymi do płotów, furtek, drzwi domów, wrót obór i stodół. W południowej i południowo-zachodniej Polsce przyjęła się charakterystyczna dla tych regionów forma bożonarodzeniowej dekoracji z gałęzi drzew iglastych. Była to najpiękniejsza, wybrana spośród kilku ściętych wczesnym wigilijnym rankiem, rozwidlona gałąź. Gospodyni i dorosłe córki ozdabiały ją jabłkami, orzechami, ciastkami, krążkami z opłatka, a gospodarz zawieszał go nad wigilijnym stołem.



Choinka, bez której nie wyobrażamy sobie świąt Bożego Narodzenia, przywędrowała do Polski z Niemiec na przełomie XVIII i XIX wieku. W pierwszej połowie XIX wieku ustawiano ją w domach mieszczan pochodzenia niemieckiego (głównie wśród ewangelików), potem przyjęła się również wśród polskiego mieszczaństwa i inteligencji. „Pod strzechy” dotarła dopiero w okresie międzywojennym. Na początku ozdabiano ją podobnie jak gałąź wieszaną nad stołem. Z czasem wzbogacono choinkową dekorację o własnoręcznie wykonywane łańcuchy z kolorowego papieru, dekorowane w różny sposób wydmuszki jaj czy współcześnie kupowane w sklepach bombki, „anielskie włosy” oraz elektryczne lampki. Zanim pojawiły się kolorowe, elektryczne lampki, to choinkę przyozdabiały m.in. kolorowe, małe świece, które umieszczano się w specjalnych, jak mawiano w niektórych regionach „żabkach choinkowych”. Wykonywało się je w domu, lub w szkole, wykorzystując np. stare puszki, w których kiedyś było kakao. Ten metal nadawał się, gdyż był łatwy do obróbki, z uwagi na jego elastyczność. Dużo było radości przy wykonywaniu takich ozdób choinkowych. Dzisiaj najchętniej sięgamy po gotowe łańcuchy, bombki, pajączki. Pewnie to już nie jest to samo. Jak mówią starsi, tym ozdobom brakuje „duszy”, tego czegoś, niepowtarzalnego.

Bożonarodzeniową dekoracją znaną tylko w Polsce były ozdoby z opłatka. Mogły być

białe albo kolorowe, płaskie wycinanki z opłatka lub trójwymiarowe kompozycje z elementów sklejanym śliną. Wieszano je u sufitu, ozdabiano gałęzie, albo dekorowano nimi choinki. Wszystkie świąteczne ozdoby nie były tylko dekoracją. Przede wszystkim miały chronić gospodarzy przed chorobami i nieszczęściami, zapewnić dostatek i harmonię, a także pomóc w przepowiadaniu nadchodzących wydarzeń. Taką rolę też spełniały źdźbła siana wyciągane podczas wieczerzy spod obrusa. Źdźbła zielone dla panien i kawalerów oznaczały ślub już w zbliżające się zapusty, łamiące się i poczerniałe staropanieństwo i starokawalerstwo. Pozostali biesiadnicy wróżyli sobie z ich wyglądu i długości o własnym zdrowiu i życiu. Wiele zwykłych czynności gospodarskich w Wigilię nabierało sensu magicznego. Wszelkie prace należało zakończyć do chwili pojawienia się pierwszej gwiazdy na niebie. Gospodarze szykowali więcej paszy dla zwierząt, rąbali na zapas drewno na opał. Kobiety kończyły przyrządzanie potraw wigilijnych i na pozostałe dni świąt, ponieważ obowiązywał wtedy zakaz gotowania. Codzienne zajęcia nie mogły być wykonywane w nadchodzący niecodzienny czas święta. Niecierpliwie czekali na pierwszą gwiazdę; gdy ta zajaśniała, zbierali się goście i dzieci, rodzice wychodzili z opłatkiem na talerzu, a każdy z obecnych, biorąc opłatek, obchodził wszystkich zebranych, nawet służących, i łamiąc go, powtarzał słowa: bodajbyśmy na przyszły rok łamali go ze sobą. Opłatek - praśny, chlebowy placuszek, wypiekali „ludzie kościelni”.





Nie w całej Polsce tak samo wyglądała kolacja wigilijna. Dla różnych regionów kraju charakterystyczne były różne i określone potrawy, a to co wszędzie było wspólne to powszechny zwyczaj, aby przed rozpoczęciem wieczerzy podzielić się ze wszystkimi opłatkiem, składając przy tym życzenia zdrowia i pomyślności. Zwyczaj ten przyjął się najpierw na dworach szlacheckich, a potem wśród reszty polskiego społeczeństwa. Powoli zwyczaj opłatkowy upowszechnił się wśród mieszkańców wsi, gdzie dzielono się opłatkiem również ze zwierzętami. Wierzono, że zwierzęta w tę

jedyną noc, mówią ludzkim głosem, lecz biada człowiekowi, który ich rozmowy usłyszy. Przełamanie się opłatkiem-chlebem to gest przyjaźni i dobrych intencji. To wstęp do wieczerzy. Do wigilijnego stołu zasiadać mogli tylko ludzie przyjaźnie do siebie nastawieni. Należało więc zawczasu pogodzić się z największym wrogiem, z najbardziej niemiłym krewniakiem, zwaśnionym sąsiadem, jeśli los nas z nim zetknął na czas Wigilii. Po skończonej wieczerzy można było porozmawiać, posłuchać dziwnych, strasznych i cudownych opowieści, wróżyć o urodzaju, pogodzie w nadchodzącym roku, zdrowiu i życiu czy małżeństwie, śpiewać pasterki i kolędy. Następnie wręczano dzieciom prezenty gwiazdkowe. Jest to stosunkowo nowy zwyczaj, praktykowany od połowy XIX wieku, głównie wśród zamożnego mieszczaństwa, ale także wśród szlachty. Natomiast na wsi prezentami obdarowywano się tylko w najbogatszych rodzinach i były to najczęściej owoce, ciasteczka albo inne „słodkości”. Od XIX w. prezenty składano pod choinką. Wcześniej - pozostawiano w izbach czy komnatach. Potem wyruszano na pasterkę. W domu zostawiali tylko niedołążni starcy i małe dzieci. Każdy gospodarz starał się dotrzeć do kościoła jak najszybciej. Ci, którzy weszli pierwsi na nabożeństwo, mogli spodziewać się dobrych plonów i powodzenia we wszystkich pracach gospodarskich. Ludzie szli więc na Pasterkę pośród śniegu i nocy, budząc przy wyjściu drzewa w sadzie. Uderzano je kijem i rozbudzano krzykiem. Budzono także ule w obejściu. Wierzono, że tej nocy trzeba przyrodzie przypomnieć o życiu, trzeba ją zbudzić do życia.

Wesołych Świąt!

<https://www.youtube.com/watch?v=ECGad0KFIdk>

Źródła: Teresa Fabijańska-Żurawska, Świąteczne wspomnienia, „Gazeta Łańcucka”, grudzień 1997, nr 12/51. Renata Hryń-Kuśmierk, Świąteczna powieść, „Wiedza i życie”, 12/1998.

Staropolskie kuligi i szlichtady



Teresa Fabijańska-Zurawska

Były te zabawy nie tylko w stolicy, lecz po całym kraju naszym od niepamiętnych zapewne przed Sobieskim, czasów. Trwały pokąd jeszcze błogie za Stanisława Augusta służyły chwile. Tak więc u przywódcy swojego zbierała się młodzież, przesadzając się na kształtny zaprzęg, saneczki, dobrze ubranych ludzi. Muzyka była na zawołaniu. Ruszano w dom najpierwszy, gdzie dużo było dziewcząt, albo je sproszone z powinszowaniem świąt szczęśliwych. Zmrokiem przyjechać kazał obyczaj, przy świetle kagańców i pochodni, lśniły się brylantami okolice całe i lasy nastrzępione śniegiem lub srebrem oblane, skrzypiały przemykając się lekko sanice, odzywał się z dala tętent koni, jak gdyby szwadron jazdy był w pełnym pochodzie; brzęk dzwonek różnogłośnych i kótek nawieszanych, odgłos muzyki, w takt odzywające się trzaskania biczem zręcznych powozicieli, okrzyki wesołych już się dawały słyszeć, gdy tylko co na wieś wjeżdżali; tak z powiększającym się

coraz szumem i hukiem w otwartą wpadano bramę i zajeżdżano przed mieszkanie gospodarza. Wychodził ku swym gościom, witał uprzejmie, wprowadzał, gdzie czekała żona i dziewice już do tańca postrojone. Po wstępnych grzecznościach i pozdrowieniach, ożywiała się coraz bardziej rozmowa, częstowano ochoczo i ludziom i koniom rad był gospodarz i miejsca obmyślił. Zaczynały się tańce. Doczekano się tym sposobem na gwałt przyrządzonej, obfitej wieczerzy, po której znowu następowały płąsy, śpiewy do białego dnia nieraz, spoczynek utrudzonych nareszcie bez wytworności przyjęty, gdzie i jak można było.

Tak opisywał staropolskie zabawy karnawałowe, zwane u nas kuligami, wielki historyk obyczajów polskich - Łukasz Gołębiowski (1773-1849) w swej książce „Gry i zabawy różnych stanów” wyd. w Warszawie w 1831 r.



Kulig na starej rycinie.



Kulig na starej rycinie.

Kulig taki, coraz to liczniejszych mający uczestników, wędrował od dworu do dworu popasając, bawiąc się i goszcząc nieraz i po kilka dni. Była to okazja do odwiedzin familijnych, do poznania się młodych i do wielu radości, popisów uciech i psot. Nade wszystko była to okazja do błysnięcia dowcipem i dobrym pomysłem na saneczki, które musiały być niezwykle. Rzeźbiono więc sanie w kształcie niedźwiedzia, jelenia, konia koguta, łabędzia, lwa, muszli i fantastycznych stworów. Nieraz były to całe kompozycje wielofiguralne, głowy murzynka na rufie albo ptaka rajskiego, papugi, węża itp. Nawet w największym tłoku każdy łatwo rozpoznawał swoje sanie. Po leśnych, wąskich drogach pędziły zaprzęgi jednokonne. Zazwyczaj dama siedziała w saniach opatulona baranicą i kapłonim zarękawkim (mufką z piór kogucich), a mężczyzna powoził z tylnego koziółka. Obejmując damę serca chronił ją swymi ramionami, szepcząc czułe słówka prosto do ucha.

Sznur saneczek mknął raźnie i szybko. Towarzyszyła saniom młodzież na koniach z pochodniami w rękę, rozświetlając ciemności i płosząc liczną, leśną zwierzynę.

Innego rodzaju zabawą karnawałową były szlichtady, które organizowano na dworach panujących możnych. Te odbywały się zwykle w pobliżu rezydencji królewskiej lub na placach i ulicach dużych miast. Był to spektakl z udziałem

licznych widzów, mieszkańców miast, rodzaj teatru na wolnym powietrzu. Na oczach gapiów przesuwiał się cały korowód wymyślnie rzeźbionych i złożonych saneczek, bardzo bogato zdobionych malowidłami, na których widoczne były sceny z życia dworu, mityczne boginie, amorki, krajobrazy. Specjalnie dobierani młodzi chłopcy, zwani biegunami, nadawali tempo jednokonnym zaprzęgom. Przebrani w stroje dworskie, często dworu hiszpańskiego, wyglądali teatralnie w swoich pluderkach, białych pończochach, obcisłych żakietkach i czapeczkach z piórami strusimi. W rękę trzymali baty - knuty do popędzania koni. Szlichtada nie była jedynie przejażdżką saniami. Był to rodzaj konkursu na najpiękniejsze sanie, na najwspanialszego konia i uprzęż, która do tak ozdobnych sań też musiała być odpowiednio bogata, haftowana srebrem i złotem, naszywana małymi, kulistymi dzwoneczkami, które dawały piękną gamę dźwięków. Konkurs polegał również na zręczności w powożeniu. Stawiano np. manekiny i trzeba było tak blisko podejść, by tego słomianego luda dźwignąć specjalną, krótką lancą trzymaną przez damę. Była to zręczność niemała, toteż dla zwycięzców przygotowywano nagrody. Zabawy te popularne były w XVII i XVIII w. również w Polsce, czego dowodem są zachowane do dzisiaj przepiękne okazy saneczek. W Muzeum Czartoryskich w Krakowie np. eksponowane są sanki szlichtadowe z rzeźbą bogini Diany na łowach, a bogini ta ubrana jest w strój polskiej szlachcianki. W pałacu w Nieborowie można zobaczyć kilka różnorodnych saneczek, a jedne szczególnie cieszą oko widza wizerunkiem głowy pijaka. W Powozowni Zamkowej w Łąncucie stoją sanie w kształcie hipokamposa, pół konia, pół ryby ze złotą łuską.



Kulig na starej rycinie.

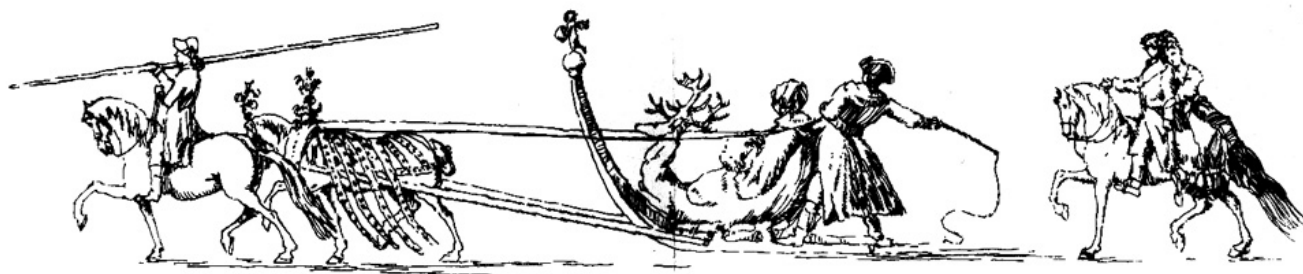


Kulig na starej rycinie.

Do 1944 roku w Paradnej Szorowni w Łańcucie stały przepiękne złote saneczki, w kształcie muszli, z której wyrastało bóstwo morskie - grubiutki, mały Tryton, grający

na rogu-muszli. Płozy, wsporniki i tył saneczek był rzeźbiony w ornamenty z gałązek i girland. Saneczki te uważano za własność królowej Francji, Marii Antoniny. Do Łańcuta przyjechały z Paryża, jako część spadku po Mikołaju Potockim z linii tulczyńskiej, który umierając bezpotomnie w 1921 roku, zapisał majątek swojemu krewnemu, Alfredowi hr Potockiemu. Jako cenny obiekt, Mikołaj hr Potocki użyczył ich na światową wystawę środków transportu w Paryżu, która miała miejsce w 1900 roku. W Łańcucie również zajmowały honorowe miejsce i były podziwiane przez gości rezydencji łańcuckiej: koronowane głowy Europy, arystokrację, dyplomatów, osobistości i rodzinę. Wywiezione w 1944 roku, do dzisiaj się nie odnalazły.

Z końcem XVIII wieku znikły szlichtady dworskie, ale zwyczaj kuligów niższych warstw społecznych, a szczególnie w Polsce lubiany i kultywowany, utrzymał się bardzo długo. Nawet i teraz jeszcze czasem organizuje się te zimowe zabawy w śnieżną, mroźną zimę. Oczywiście nie mają one charakteru masowego i są ograniczone do przejażdżki po zaśnieżonym terenie wiejskim. Obyczaje te wspominamy dzisiaj z pewną nostalgią.



Kulig, rys. Wrzesław Żurawski.